

ARTUR ŚLIWIŃSKI

ODSIECZ WIEDŃSKA

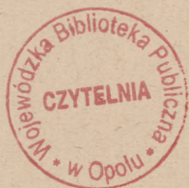
WYDAWNICTWO KOMITETU OBCHODU
250-LECIA ZWYCIĘSTWA POD WIEDNIEM
WARSZAWA — 1933

ODSIECZ WIEDENSKA

Kolekcja
Emila Kornasia

TEGOŻ AUTORA:

Jan Sobieski. Warszawa 1924, str. 338.



CM KEK

317128

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 50 /2012/ CM



Jan III Sobieski.

I

JAN SOBIESKI

Dnia 12 września 1683 roku, pod murami obleżonego Wiednia, sprzymierzone wojska polskie, austriackie i posiłkowe niemieckie, pod naczelnem dowództwem Jana Sobieskiego, odniosły wiekopomne nad armją turecką zwycięstwo.

Bohater tego pamiętnego dnia w dziejach Europy, król Jan III, od pierwszych dni swego życia wsluchiwał się w szcęk oręża i oddychał gorącą atmosferą wojny. Urodzony na zamku w Olesku dnia 17 sierpnia 1629 roku, przyszedł na świat w chwili, gdy nad starem zamczyskiem przeciągała dawno nie-pamiętna burza, a wokół murów zamkowych grasowali Tatarzy. Strony rodzinne przyszelego króla niemal coroku najeżdżane były przez łupieskie ordy. Nie było w tych stronach miasta, miasteczka, nie było siedziby pańskiej, ani dworu szlacheckiego, ani

chaty chłopskiej, w których nie wspominano by ze zgrozą klęsk i ofiar, jakie te najazdy pociągały za sobą. I w domu rodzinnym Jana walki z Tatarami i wojny z Turcją zapisały się niejednym krwawym wspomnieniem.

Ojciec bohatera, Jakób Sobieski, znakomity senator i wybitny statysta, towarzyszył Chodkiewiczowi w r. 1621 pod Chocim i zasiadał w radzie wojennej, przydanej do boku hetmana. Ale w zapasach z Turcją bardziej przysłużył się Rzeczypospolitej talentem dyplomaty, niż mieczem. Natomiast wśród przodków po kądzieli miał Jan Sobieski wojownika, którego szabla szeroko zasłynęła po świecie, a który bohaterską śmiercią wstrząsnął sumieniem narodu. Matka Jana III, Teofila Daniłowiczówna, córka wojewody ruskiego Jana Daniłowicza i Zofii z Żółkiewskich, była wnuczką nieśmiertelnej sławy kanclerza i hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Pamięć wielkiego obywatela i wielkiego wodza otaczana była najgłębszą czcią w domu rodzicielskim. W tej czci wychowywali rodzice obu swych synów: Jana i starszego o rok zgoła Marka. W zamku Żółkiewskim, gdzie obaj bracia spędzili lata chłopięce, z wielkiem poszanowaniem przechowywano broń i sprzęty hetmana, a komnaty, które zamieszkiwał, pozostawiały w takim stanie, w jakim je opuścił, wyjeżdżając z Żółkwi na ostatnią w życiu swoim

wyprawę. W sypialni hetmana stało pod ścianą proste łóżko żołnierskie, a nad łóżkiem przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej płonęła złotolita lampa, zawieszona przez hetmanową Reginę Żółkiewską w dniu sprowadzenia prochów małżonka do Żółkwi. Ścianę sypialni zdobiły bezcenne pamiątki po poległym wodzu: słynna na cały świat szabla, buława, ofiarowana przez papieża, oraz poszarpany od ciosów a rdzawy od krwi płaszcz, w którym zwłoki hetmańskie znaleziono na polach Cecory.

W kościele miejscowym oglądali młodzi Sobiescy wykute z czarnego marmuru posągi pradiada i dziada: Stanisława i Jana Żółkiewskich. Dziad Jan, towarzyszący ojcu w ostatniej wyprawie, odniósł w potrzebie cecorskiej ranę, której przez lata nie zdołano zagoić, a która stać się miała czasem przyczyną jego śmierci. Była to druga w najbliższej rodzinie ofiara walk z Turcją i Tatarami. Na grobowcu wyryty był napis:

«O quam dulce et decorum pro patria mori!
(jakże słodko i szlachetnie jest umrzeć za ojczyznę!).

Przed tym grobowcem nieraz zatrzymywali się rodzice i odczytywali młodzieńcom synom ów napis, jako wskazanie na drogę ich życia.

Gdy Jan liczył lat siedem, nowy cios ugodził w jego rodzinę. Do Żółkwi przywieziono zwłoki brata pani Teofili, Stanisława Daniłłowicza. Młody jeszcze rycerz, niejednokrotnie wsławiony w walkach z barbarzyńską dziczą, dostał się do niewoli i jako jeńiec zamordowany został przez Tatarów.

W czasie uroczystości pogrzebowych Jakób Sobieski podniosła mową uczcił pamięć swego szwagra, a pani Teofila, prowadząc obu synów za ręce, modliła się głośno i prosiła Boga, by pomścił śmierć brata na okrutnych mordercach.

Młodzi Sobiescy, wychowywani „w przyrodzonej do pogan antypatji“, od lat najmłodszych uważali się za przyszłych mścicieli krwi przodków, co w obronie ojczyzny i wiary życie dali w zapasach z Turkiem i Tatarem. A to wychowanie i wrażenia lat młodocianych tak głęboko zapadły w duszę przyszłego króla, że nieraz zaważyły miały na jego późniejszym życiu i na szlach jego ważnych dla kraju decyzji.

Obaj bracia kształcili się w szkołach Nowodworskich w Krakowie, uczęszczali również do Akademii na wydział filozoficzny, następnie odbyli dłuższy wyjazd po Niemczech, Holandji, Francji i Anglii. Po powrocie z zagranicy w r. 1648 zastali kraj w pożodze wojny. Zbuntowany Chmielnicki, wspierany przez Tatarów, posuwał się w

głąb Rzeczypospolitej, jak duch zniszczenia i pomsty. Cała Polska rozbrzmiewała odgłosami klęsk, poniesionych pod Żółtymi Wodami i Korsuniem, a nie zdążyła jeszcze ochłodzić z przerażenia, gdy z krańców w krańce Rzeczypospolitej gruchnęła wieść o straszliwym pogromie pod Pilawcami. Bracia pociągnęli na plac boju. Marek Sobieski znalazł się wśród obrońców Zbaraża, a dziewiętnastoletni Jan, pozostający przy boku Jana Kazimierza, brał udział w pamiętnej bitwie pod Zborowem. W roku 1651 obaj odznaczali się pod Beresteczkiem. W roku następnym Jan, złożony chorobą, z powodu odniesionej rany, leczył się we Lwowie, a Marek zginął w bitwie pod Batochem. Wieść niesła, że młody rycerz dostał się do niewoli i jako jeńiec zamordowany został przez Tatarów i to, według słów Jana, „przykładem okrucieństwa nigdy niesłychanym“.

Tak skończył w 25-tym roku życia Marek Sobieski, który, pomimo młodego wieku, zasłynął już w kraju, jako obywatel wielkich przymiotów i rycerz niezwyklej odwagi. Pamięć o tragicznie zamordowanym przez „pohańców“ bracie utkwiała w sercu Jana, jak krwawiąca strzała.

Po śmierci Marka Jan pozostał jedynym męskim spadkobiercą sławy i fortuny, a zarazem „mścicielem“ trzech spokrewnionych ze sobą rodów: Żółkiewskich, Daniłłowiczów i Sobieskich.

Młody rycerz, właściciel olbrzymich włości, stawiających go w szeregu najmożniejszych w Rzeczypospolitej magnatów, miał przed sobą otwarte wrota do największych w kraju zaszczytów. Jakoż szedł ku nim przez pola wojennej chwały, nie przestając służyć krajowi szablą. W r. 1653 na czele własnej chorągwi pancерnej pociągnął z Janem Kazimierzem pod Żwaniec, a w dwa lata później bił się z Moskwą i Kozakami pod Ochmatowem.

W roku 1655-ym, w czasie zawieruchy szwedzkiej, uniesiony falą obłąkania szlacheckiego, stanął po stronie Karola Gustawa. Miał możność przypatrzeć się teraz znakomitej organizacji wojska i poznać się z cudzoziemską sztuką wojenną, którą w wysokim stopniu posiedli wodzowie szwedzcy. Gdy zrozumiał swój błąd, odstąpił najezdników i w licznych z nimi bitwach pod wodzą Stefana Czarnieckiego, a później pod Jerzym Lubomirskim bił się, jak straceniec, wykazując niezwykłą odwagę, a budząc swemi czynami uznanie i podziw rycerstwa. W nagrodę za oddane na polach bitew usługi mianowany został chorążym koronnym.

W roku 1666-ym, a więc mając lat 37, został hetmanem polnym.

Wyniesiony na szeroką widownię publiczną, nie przejawiał dotąd w życiu politycznym wybitniejszej indywidualności. Epoka wy-

ciskała na nim swe piętno i urabiała na swoje podobieństwo. Ale pomimo typowych cech magnata - szlachezca górował nad swoim środowiskiem szerszym na sprawy Rzeczypospolitej poglądem, ofiarnością i troską o dobro publiczne. A im wyżej się wznosił po szczeblach dostojęństw, im w trudniejszych znajdował się warunkach, im większe napotykał przeszkody, gdy chodziło o obronę kraju, tem wymowniejsze składał dowody swego hartu i patriotyzmu.

Sobieski należał do naiwykształceńszych obywateli swego czasu. Wszechstronnie ocvytany, żywo interesujący się sztuką, literatura i różnemi dziedzinami wiedzy, miał okazałą bibliotekę, ofaczał opieką artystów i uczonych. Władał wybornie łaciną i językiem francuskim, mówił po niemiecku, angielsku i włosku, mógł rozmówić się w rodownym języku z Turkiem i Tatarem.

Z natury żywy, wesoły, obdarzony fantazją i humorem, dorodny i postawny, serce miał czułe i tkliwe. Zakochany bez pamięci w swej żonie, pięknej „Marvsieńce“, Francuzce chciwej, przebiegłej i kapryśnej, a uważającej się za wierną poddaną Ludwika XIV, zbyt często w polityce poddawał się jej wpływom. A chociaż zdawał sobie sprawę ze złego ustroju Rzeczypospolitej i dążył do jej naprawy przez okiełznanie samowoli magnatów i warcholstwa szlachty, choć rów-

nie dobrze orjentował się w sprawach polityki międzynarodowej, nieraz ulegał okolicznościom i nieraz wykazywał brak śmiałości a zdecydowanej woli w urzeczywistnianiu swych planów.

Sobieski - statysta był jakby przeciwstawieniem Sobieskiego - wodza. Albowiem w piersiach tego dobrodusznego szlachcica polskiego płonął genjusz wojny. Często niezdecydowany na arenie intryg i matactw dyplomacji, miał na polu bitwy niezachwianą pewność siebie. Zwłaszcza w obliczu niebezpieczeństw zuchwały jego genjusz budził w rycerstwie zapał, wiarę i bohaterstwo, a mieszał i przerażał nieprzyjaciela. Doskonale znając wszystkie rodzaje broni i sposoby ich użycia, umiał poszczególne jednostki bojowe połączyć w harmonijnem działaniu, a własną strategją zaskakiwał zazwyczaj wroga i miażdżył go śmiertelnem uderzeniem. Straszny w ataku, był niepokonany w odpieraniu szturmów. W najcięższych chwilach, kiedy najwaleczniejszym opadały ramiona, Sobieski, jak lew, stawiał czoło burzy zwątpienia, walczył z nędzą, głodem i upadkiem swoich podkomendnych, własnym zapałem ożywiał szeregi i narzucał im swoją piorunową wolę zwycięstwa.

Mianowany hetmanem polnym, przekonał niebawem kraj cały, że nigdy buława het-

mańska nie znajdowała się w dostojniejszych rękach.

Polską wstrząsały w owym czasie walki wewnętrzne. Szlachta, pochłonięta polityką, żyła obawą, że książę Kondeusz wylądowałada chwila z wojskiem francuskim na wybrzeżach Bałtyku, by, przy pomocy zamierzającego abdykować Jana Kazimierza, zawładnąć tronem polskim. A Rzeczypospolitej groziło niebezpieczeństwo ze strony Turcji, Tatarów i Kozaków. Tymczasem Sejm, nie bacząc na czekającą kraj wojnę, postanowił był właśnie zmniejszyć siłę obronną kraju do 12.500 ludzi. Sobieski, na którym, jako na hetmanie polnym, ciążył obowiązek strzeżenia kresów, nadaremnie przestrzegał Jana Kazimierza i bawiących przy nim senatorów o przygotowaniach wojennych na Krymie, nadaremnie wzywał uniwersalami szlachtę, by skupiała się przy nim. Nikt słuchać go nie chciał. Opuszczony przez wszystkich, w najtrudniejszych warunkach na własną rękę zaczął przygotowywać dzieło obrony. Nieopłacone wojsko domagało się wypłacenia żołdu, skarżyło się na brak żywności i zapowiadało, że nie wyruszy w pole. W otoczeniu Sobieskiego podniosła głowę intryga, krążyły wszelkiego rodzaju plotki, podejrzenia, oszczerstwa. Wszystko się sprzysięgło, by pokrzyżować wysiłki hetmana.

— „Żaden na świecie człowiek w podobnych nigdy nie był terminach” — pisał w owym czasie Sobieski do żony.

Ale nie zrażał się niczem, własnymi środkami zaspakajał najniezbędniejsze potrzeby i, pracując z żelazną energją, doprowadził siłę zbrojną, którą mógł rozporządzać, do 5.000 jazdy i 3.000 piechoty. A tymczasem w granice Rzeczypospolitej wtargnęło 80.000 ordy tatarskiej, a z Tatarami połączyło się 24.000 Kozaków pod Doroszeńką. Losy bezbronnej Rzeczypospolitej zawisły na szablach Sobieskiego. Zważyło rycerstwo w możność pokonania potężnego wroga, ale nie zwątpił na chwilę Sobieski. Jego genjusz wojenny po raz pierwszy rozblysnął miał pełnią swego blasku. Plan, który podówczas ułożył, tak odbiegał od pojęć ówczesnych, że przerażili się jego podkomendni i zgodnie powiadali, że chyba na zgubę ojczyzny „Pan Bóg takową radę podał hetmanowi”. Zamiast skupić wszystkie swe wojska, jak radzili doświadczeni wojownicy, hetman rozdzielił je na kilka oddziałów i rozkazał im tak manewrować, by Tatarzy, rozesławszy swoim zwyczajem w różnych kierunkach zagony, wszędzie napotkali odpór i nie mogli ani oblegać pomniejszych warowni, ani też walczyć jednocześnie z rozdzielonymi siłami polskimi. Przewidywał, że w ten sposób skłoni nieprzyjaciół do uderzenia na garść

rycerstwa, które pozostawił pod własnym swoim dowództwem. Sam tedy na czele 3.000 ludzi postanowił iść, jakby w paszczę wroga, i całą jego potęgę zatrzymać na sobie. Wtedy oddziały, korzystające ze swobody ruchów, miały zdążać ku miejscu walki, szarpać oblegających hetmana nieprzyjaciół, przerywać im dowóz żywności, niepokoić nieustannie i znosić wysyłane na rabunek zagony. A najtrudniejsze zadanie wyczerpania wroga w otwartej walce wziął Sobieski na siebie.

Wszystko stało się, jak przewidywał.

Tatarzy, napotkawszy na szlakach swego pochodzenia nieoczekiwany odpór, całą oradą zwrócili się przeciw hetmanowi, który z 3.000 żołnierzy zamknął się w Podhajcach. Zgorą 100.000 Tatarów i Kozaków zważyło się na obóz polski. Od 4 do 17 października (1667 r.) trwały zaciekle walki. Sobieski, zawezwawszy do obrony chłopów, nie tylko odparł wszystkie szturmy, lecz tak wielkie straty zadał ciągle niepokojonemu na tyłach nieprzyjacielowi, że potężny wróg, zważywszy o zwycięstwie, zaproponował rozpoczęcie układów. Wieść o wtargnięciu w tym czasie na Krym atamana zaporońskiego Sirki sprawiła, że Tatarzy, niepokojni o własne siedziby, poprzysięgli być odąd wiernymi sojusznikami króla i Rzeczypospolitej, a Kozacy, jak brzmiała spisa-

na z nimi umowa, żebrząc o łaskę i przebaczenie, oświadczyli swą szczerą gotowość służenia Polsce we wszystkich jej potrzebach.

Takiem zwycięstwem rozpoczął Sobieski swoje hetmaństwo.

A po tym świetnym początku przyszły nowe czyny, które coraz większą sławą wieńczyły czoło genialnego wodza. W roku 1671 znowu rozpoczęła się wojna z siłą tatarsko-kozacką. I znowu Sobieski, pozostawiony sobie, mając kilka tysięcy wojska, daremnie wzywał pomocy. Rozgoryczony obojętnością szlachty, pisał z szyderstwem, iż myśli ona tylko o tem, aby „siedzieć w domu, podatków nie składać, żołnierza nie karmić, a Pan Bóg żeby za nas wojował”. Lecz nie bacząc na najcięższe warunki, w jakich wypadło mu walczyć, śmiało wyruszył w pole i szeregiem świetnych zwycięstw ratował honor Polski. A w roku następnym, w „haniebnym roku” 1672-im, kiedy olbrzymie wojska tureckie, kozackie i tatarskie, obliczane na 300.000 ludzi, zagroziły Rzeczypospolitej, zalały Podole i zdobyły Kamieniec; gdy szlachta, miast siadać na koń, hałasowała na sejmikach, gdy król Michał nie mógł się zdobyć na żaden wysiłek, znowu Sobieski na czele 3.000 jazdy ruszył z pod Krasnegostawu przeciw czambułom tatarskim i sam jeden walczył z nieprzyjacielem. Idąc na Za-

mość, Narol, Jaworów, Komarno, Stryj aż pod Kałusz, zapuszczając się w okolice tak wyniszczone i zrabowane, że o „bochenek chleba trudniej było, niż o tysiąc Tatarów”, dokonał znowu niezwykłego dzieła. Przebywszy w ciągu dziewięciu dni zgórą 300 kilometrów fatalnej jesiennej drogi, prowadzącej przez leśne haszcze, bagna, jary, wertepy, to znowu przez wody, tak rozlewne i głębokie, że konie musiały płynąć, rozbił doszczętnie trzy czambuły, położył trupem około 20.000 Tatarów i wyzwolił 40.000 jasyru. Zwycięstwa te nie odniosły przecież należnego skutku. W trakcie wyprawy hetmana komisarze polscy zawarli w Buczaczu haniebny traktat, na mocy którego Rzeczpospolita zrzekała się Ukrainy i Podola, oraz zobowiązywała się płacić Turcji roczną daninę w wysokości 22.000 dukatów.

W ten sposób Polska stawiała się lennem państwem sułtana.

Ale w roku następnym Sobieski, będący już hetmanem wielkim koronnym, odnosi nad Turcją jedno z najświetniejszych swych zwycięstw. Dnia 11 listopada 1673 r. zdobywa nagłym szturmem obronny Chocim i rozбивa armję turecką, która daremnie po opuszczeniu murów w ucieczce szuka ocalenia.

Świetne czyny wojenne utorowały Sobieskiemu drogę do tronu. Obwołany po śmier-

ci Michała Wiśniowieckiego królem (r. 1674), nie może się zająć dziełem naprawy Rzeczypospolitej i wzmocnieniem rządów, gdyż wszystkie jego myśli pochłania tocząca się wojna z Turcją i rebelja kozacka. Odkłada koronację, spieszy na Ukrainę i uśmierza wielkie przestrzenie zbuntowanego kraju.

Ale wojna toczy się dalej.

W roku 1675 ogromne siły turecko-tatarskie wkraczają do Polski. Sobieski udaje się do zagrożonego Lwowa i tutaj przygotowuje obronę. Ale obóz króla świeci pustkami, mało kto bowiem słucha jego wezwania. Jan III skarży się na straszne położenie.

— „Z Polski, — pisze, — nikt nie przybywa. Jedni za Wisłę, drudzy aż za Gdańsk uciekają. A im się kto lepiej ma w tej ojczyźnie, tem mniej dla niej czyni. Nikt o publice (t. j. o sprawach publicznych) nie myśli, tylko każdy o swej własnej prywatcie. Jedna zaś moja nieszczęśliwa głowa pewno już temu więcej nie wydola!”

Odnosi przecież świetne zwycięstwo pod Lwowem, a gdy nawała turecko - tatarska odpływa z Rzeczypospolitej, zwołuje na luty 1676 roku Sejm koronacyjny do Krakowa.

Bohaterski król, korzystając z entuzjazmu, jaki obudziły ostatnie jego zwycięstwa, postanawia stworzyć stałą 100.000-ną armję, utrzymywaną kosztem całego narodu. Sejm,

zdając sobie sprawę z doniosłości tego projektu, a mając świadomość wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego nadal krajowi ze strony sułtana i chana, przychyła się do żądań króla i uchwała konstytucję pod nazwą „Auctio sił Rzeczypospolitej”, doprowadzając siły zbrojne Polski do 80.000. Nicstety, uchwałę Sejmu paraliżują sejmiki. Tłum szlachecki w obawie, że stała siła zbrojna wzmocnić może króla i rozwiązać mu ręce w planach polityki zewnętrznej, a zarazem zagrozić złotej wolności, unicestwia zamiary Sobieskiego.

A latem tegoż 1676 roku głośny wódz turecki, Ibrahim - Szejtan, basza Damaszk, na czele wyborowej armji, liczącej około 50.000 ludzi, z doskonałą a potężną artylerją, wyrusza przeciw Polsce. 50.000 Tatarów towarzyszy Turkom. Śród niesłychanych przeszkód i trudów, Jan III, dźwigając na swoich barkach cały ciężar wojny, z największym wysiłkiem gromadzi około 20.000 wojska. Siły są tak nierówne, że wielka trwoga ogarnia kraj cały. Na szczęście dla narodu szczupłe szeregi polskie dopełnia zadziwiający genjusz wodza. Zamknawszy się w obozie pod Żórawnem, Sobieski nie tylko odpiera zwycięsko wściekłe szturmy, ale prowadzi swe szyki do ataku i wielkie straty zadaje wrogowi. Lecz pomimo bohaterskich czynów, położenie wojska polskiego staje

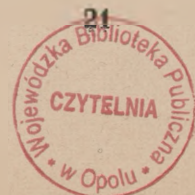
się rozpaczliwe. Po tygodniu nieustannych bojów kończy się żywność i zaczyna się wyczerpywać amunicja. Konie, karmione liśćmi dębiny, o które coraz trudniej, padają z powodu braku paszy. Żołnierz głoduje. Zwątpienie zaczyna ogarniać rycerstwo. Lecz niezłomny król walczy z niemocą swego wojska, z nędzą, głodem, zmęczeniem i upadkiem ducha.

— „Z gorszych wyprowadziłem was terminów, — woła do żołnierzy. — Czyż myślicie, że głowa moja stała się słabszą po włożeniu na nią korony?!”

I, dobywając ostatka sił, ożywia swem bohaterstwem armję, odpiera nowe szturmy i nowy święci triumf. Po czternastu dniach bohaterskich bojów zawiera pokój z Turcją. Nie jest to pokój korzystny, gdyż do Rzeczypospolitej wraca tylko część Ukrainy, a spór o jej część pozostała i o Podole ma być załatwiony na drodze późniejszych pertraktacyj. Ale Rzeczpospolita, dzięki geniuszowi Jana III i męstwu jego żołnierzy, wydobywa się z przepastnej toni, odzyskuje na dłuższy czas pokój i wyzwala się z obowiązku płacenia sułtanowi haraczu. W ten sposób układ zórawiński zmywa hańbę traktatu buczackiego, rehabilituje Polskę w oczach Europy i w blaskach chwały wojennej wprowadza ją znowu na widownię dziejów.

Sława Sobieskiego szeroko rozbrzmiewa po świecie.

Wydźwignawszy kilkakroć Ojczyznę z nad przepaści zginienia, król ma nareszcie możność zająć się wewnętrznymi sprawami państwa. Niestety, wielki wódz nie posiada dość siły, by pokierować układem stosunków w kraju. Krótkowzroczne samolubstwo szlachty i intrygi zwalczających się wzajem magnatów kładą się zaporą na drodze jego zamiarów. Upadając pod brzemieniem trosk i nieszczęść politycznych, nie jest w stanie zdławić szalejącej anarchji. I nie ma dość poparcia w narodzie, by polityką swoją wywalczyć Rzeczypospolitej należne jej miejsce w świecie. A właśnie w owym czasie rozgrywają się wielkie w Europie wypadki. Ludwik XIV wyteża siły, by złamać na zachodzie wpływy Habsburgów, osłabić Austrię i państwa z nią sprzymierzone. Walka między królem francuskim a cesarzem dochodzi do wielkiego napięcia. Obie strony usiłują pozyskać dla siebie Rzeczpospolitą. Francja pragnie utrwalić pokój między Turcją a Polską, by siłę pierwszej skierować przeciw Austrii, a drugą wciągnąć w systemat swej wielkiej polityki. Ze swej strony dyplomacja austriacka czyni ogromne wysiłki, by pokrzyżować te plany. Za cesarzem stoi papież i na szalę walki dyplomatycznej rzuca swe potężne wpływy.



Polska staje na zaimie swych dziejów.

Wojenny genjusz Jana III w oczach obu stron posiada wielką wartość, obie więc dokładają starań, by Rzeczpospolitą pozyskać dla siebie. Ta rywalizacja dwóch potęg otwiera przed narodem polskim drogę, których wybór poważnie ma zaważyć na jego przyszłości.

II

SOJUSZ Z CESARZEM

Rzeczpospolita, znajdując się między dwoma obozami, walczącemi o palmę pierwszeństwa i przewagę wpływu na układ stosunków w Europie, stanęła wobec niezmiernie trudnego zadania. Potężna Francja, sprzymierzona ze Szwecją, starała się zjednać sobie Turcję, która usadowiła się na i'odolu i ani myślała zwrócić go Polsce. A wśród przeciwfrancuskiej koalicji, obok Austrii, oddawna intrygami swemi zakłócającej publiczne życie polskie, obok Hiszpanji i Holandji, znajdował się elektor brandeburski, Fryderyk Wilhelm, zawzięty wróg króla i Rzeczypospolitej. Sojusz z Francją utrudniał wrogi stosunek Wysokiej Porty do żądań polskich i narażał Polskę wszystkim państwom chrześcijańskim, korzystającym z opieki cesarza i papieża. A przymierze z cesarzem prowadziło Polskę do obozu, w którym

nie mogła liczyć nietylko na dobrą wolę, ale nawet na lojalność obu sąsiadów.

Śród magnatów polskich, zarówno król francuski Ludwik XIV, jak cesarz Leopold I mieli gorących zwolenników. Obaj monarchowie oddawna nie szczędzili wysiłków i pieniędzy, by ugruntować w Polsce swe wpływy. Obaj mieli poważne a zaciekle walczące ze sobą stronnictwa.

Za czasów Władysława IV i Jana Kazimierza dwór królewski, zależnie od okoliczności, przechylał się to na jedną, to na drugą stronę. a energiczna królowa Ludwika Marja, snując rozległe plany wzmocnienia rządów w kraju i zniesienia wolnej elekcji, widoki swoje opierała na najściślejszym sojuszu z Francją i pomocy Ludwika XIV. Stronnictwo francuskie rosło na siłach, a w szeregach jego oddawna znajdował się Sobieski ze swoją piękną, ambitną i chciwą „Marysienką”. Oburzona na stronników Francji, szlachta wyborem Michała Wiśniowieckiego przechyliła chwilowo szalę polityki polskiej na rzecz aljansu z Austrią. Ale już przy następnej elekcji przepadł kandydat cesarski do tronu, Karol IV, książę Lotaryngii, a wybór Sobieskiego powitany został w Wersalu jako stanowcze zwycięstwo prądów francuskich w Polsce.

Istotnie Jan Sobieski był szczerym zwolennikiem współdziałania z Francją, a dy-

plomacja francuska umiała w owym czasie godzić swoje interesy polityczne z racją stanu Polski.

Ludwik XIV, dążący do zgnębienia wszelkimi środkami swych wrogów, pragnął, by Polska wsparła powstanie Węgrów, zbuntowanych przeciw panowaniu cesarza Leopolda I i jego wynaradawiającej a krwawej polityce. Ze swej strony powstańcy węgierscy, korzystając z pomocy pieniężnej Francji, zwracali jednocześnie swe oczy ku Polsce i ofiarowywali koronę węgierską synowi Sobieskiego, królewiczowi Jakóbowi.

Powstanie węgierskie, paraliżujące siły cesarza, a popierane przez Francję i Polskę, miało tem większe widoki powodzenia, że mogło liczyć na pomoc Turcji, którą Ludwik XIV usiłował wplątać w wojnę z Austrią. To też pokój pomiędzy Rzeczpospolitą a Turcją był kamieniem węgielnym planów francuskich. Pokój ten, wobec nieustępliwości Wysokiej Porty, musiałaby Polska okupić poważną stratą terytorjalną. Ale wzamian za tę ofiarę inną a świetną perspektywę rozciągała przed oczyma Jana III polityka francuska. Oto Ludwik XIV wskazywał królowi możliwość odzyskania Prus Książęcych i ofiarowywał Polsce swą pomoc dla tego celu. Wojnę z elektorem mieli rozpocząć Szwedzi, a na jej kosztą Francja zobowiązywała się płacić Polsce 200.000 talarów

rocznie, ponadto zaś dostarczyć 200.000 franków na rzecz utrwalenia pokoju z Turcją.

Zanosilo się na wielki a pomyślny zwrot w dziejach Polski.

Rozwalenie ściany niemieckiej, zastąpienie Rzeczypospolitej szerszy dostęp do wybrzeża morskiego, odzyskanie prowincji, której ludność oddawna ku Polsce zwracała swe oczy, umocnienie wpływów polskich na Węgrzech, unicestwienie w kraju odwiecznych intruzów dworu wiedeńskiego, wreszcie skierowanie sił Turcji przeciw Austrii, a następnie i Moskwie, oddawna myślącej o zagarnięciu Ukrainy i Litwy, wszystko to otwierało przed narodem polskim wielkie perspektywy na przyszłość.

Jan Sobieski, który wyrósł w atmosferze walk z wrogami własnej ojczyzny i wrogami krzyża, a wojnę z „pochańcami” uważał za swą misję dziejową i w wojnie tej zdobył sławę, co go zaprowadziło na stopnie tronu, niełatwo mógł się zdecydować na propozycje francuskie. Nieustępliwość Turcji, dzierżącej w swych rękach część Ukrainy i Podole z Kamieńcem, budziła w królu naturalny odrzęt. Ale pomimo tych przeszkód był Jan III zbyt światłym obywatel i statysta, by nie widzieć korzyści, jakie zapewniało Rzeczypospolitej zbliżenie się do Francji.



Cesarz austriacki Leopold I.

Więc w czerwcu roku 1675 podpisał w Jaworowie z posłem Ludwika XIV traktat tajnego przymierza.

Jednakże dyplomacja francuska nie zdołała powstrzymać sultana od wojennych kroków przeciw Polsce. W sierpniu 1676 r. przyszło do sławnych bojów pod Żórawnem i dopiero traktat żórawiński zapewnił Polsce dłuższy pokój i pozwolił rozpocząć szerszą akcję w myśl zawartego z Francją przymierza.

Za zgodą króla, a przy czynnej pomocy ambasadora Francji, Hieronim Lubomirski czynił na ziemi polskiej zaciągi i posyłał je na Węgry. 4.000 zwervowanych w ten sposób ochotników wsparło powstanie, a waleczność rycerstwa polskiego zbudziła wśród Węgrów wielki zapal i niezmiernie ożywiła ruch zbrojny.

A w sierpniu 1677 roku Sobieski udał się do Gdańska i tu z posłem szwedzkim podpisał tajną umowę. Szwecja zobowiązała się wkroczyć do Prus Wschodnich z armją 10.000, król zaś miał wesprzeć te siły 7.000 żołnierza prywatnego zaciągu.

Na nieszczęście Szwedzi działali z wielką opieszałością. Pomimo to król dobrej był myśli i, czekając na rozwój wypadków, zdecydował się na wielką ofiarę: w kwietniu 1678 r. ratyfikował traktat żórawiński i,

pozyskawszy dla swego projektu radę senatu, polecił wydać Turkom cztery twierdze na Podolu.

Tymczasem stronnictwo cesarskie w Polsce, wspomagane przez cesarza i elektora, którzy z niepokojem śledzili politykę króla, czyniło wielkie wysiłki, by sparaliżować działalność Sobieskiego. Wiśniowiecki i Jabłonowski przecięli komunikację z Węgrami, a na Litwie Pacowie przeszkadzali przemarszowi Szwedów. W dodatku król wpadł na trop groźnego spisku, uknutego przez swoich nieprzyjaciół z Wiśniowieckim i biskupem Trzebieckim na czele. Spiskowcy projektowali odstąpić Austrii Kraków i Częstochowę, zdetronizować Jana III i koronę polską oddać ks. Karolowi Lotaryńskiemu. Nadomiar nieszczęścia klęska Szwedów, poniesiona z wojskami elektora pod Kuckernese w styczniu 1679 r., czyniła sprawę odzyskania Prus Książęcych znacznie trudniejszą, niż to można było przypuszczać. W dodatku Ludwik XIV, ukończywszy zwycięsko wojnę z koalicją i zawarłszy upokarzający Habsburgów pokój w Nimwegen, mniej wagi przywiązywał do zawartego w Jaworowie traktatu. A wyniosłość i protektorski ton króla francuskiego zarówno w stosunku do Rzeczypospolitej, jak obojga Sobieskich, ostudził w Janie III wiarę w szczerą politykę francuskiej. Wojownicza postawa



Papież Inocenty XI.

Turcji i polityka papieża Innocentego XI, stale wzywającego króla, by nie godził się na pokój z muzułmanami, również utrudniały położenie Sobieskiego i jego zamiary odzyskania Prus Wschodnich.

Śród takich okoliczności w grudniu 1678 roku rozpoczęły się w Grodnie obrady Sejmu.

Stronnicy cesarscy wystąpili z ostrą krytyką polityki Sobieskiego w stosunku do Prus i Węgier, a nuncjusz papieski Martelli wygłosił wobec sejmujących stanów gorącą mowę przeciw Turcji. Sejm, nie mogący przeboleć utraty Podola, zapłonął wielkim oburzeniem. I w Janie III zbudził się „mściciel”, zawsze wrażliwy na wezwanie do walki z półksiężycem. Szachując intrygi swoich nieprzyjaciół, Sobieski sam wystąpił z projektem, aby sejm wybrał z grona swego wielką radę, któraby wraz z królem zdecydowała o stosunku Rzeczypospolitej do Turcji. Jednocześnie proponował Sobieski wysłanie poselstw do znaczniejszych dworów europejskich w celu utworzenia Ligi Chrześcijańskiej.

Sejm zgodził się na projekt króla i podniósł liczbę wojska koronnego do 32.000, a litewskiego do 10.000. Wzamian za to król przystał na konstytucję, która „pod gardłem” nakazywała oddziałom polskim, wysłanym na Węgry, wracać w oznaczonym terminie do kraju.

W ten sposób Jan III zażegnał zbierającą się burzę, ale zarazem uczynił wyłom w zawarciem z Francją przymierzu i zbliżył Rzeczpospolitą ku dworowi cesarskiemu.

Przechylając się na stronę Austrii, a rezygnując z odzyskania Prus Wschodnich, tracąc już przedtem w układach z Moskwą Kijów i Smoleńsk za chimere pozyskania cara dla wojny z Turcją, oddalając się od Francji, wreszcie stępując swe ostrze przeciw trzem groźnym sąsiadom, polityka polska, jak tego dowiodły późniejsze wydarzenia, potoczyła się drogą coraz boleśniejszych dla narodu zawodów i nieszczęść.

Przekonał się niebawem Jan III, jak ciężkiego podjął się zadania.

Poselstwa polskie, wysłane w celu utworzenia Ligi Chrześcijańskiej do Anglii, Francji, Austrii, Moskwy, Hiszpanji, Portugalji, Wenecji, Rzymu i północnych miast włoskich, nigdzie nie osiągnęły zamierzonego celu. Nawet cesarz Leopold I nie chciał się zobowiązać do udziału w Lidze. A tymczasem elektor Fryderyk Wilhelm, opuszczony przez swoich sprzymierzeńców, pogodził się z Ludwikiem XIV, zawarł z nim w październiku 1679 r. tajny traktat w Saint Germain i zobowiązał się do popierania polityki francuskiej w Polsce.

Sejm warszawski, zwołany w r. 1681, nowy cios miał zadać Sobieskiemu.

W owym czasie projektował król małżeństwo najstarszego swego syna królewicza Jakóba z Ludwiką Karoliną Radziwiłłówną, córką zmarłego księcia Bogusława, dziedziczką olbrzymiej na Litwie fortuny, obejmującej kilka fortec, wiele miast, miasteczek i niezliczone włości. Radziwiłłówna przebywała w Berlinie pod opieką elektora, który dobrze wiedział o zamiarach Sobieskiego. Ale Fryderyk Wilhelm, chcąc utwierdzić swe wpływy na Litwie, wydał niespodzianie najposażniejszą w Europie pannę za syna swego, Ludwika.

Obelga, wyrządzona królowi, wywołała burzę podczas obrad Sejmu. Gorętsi posłowie, trzaskając szablami, wołali, by zaprzestać myśli o wojnie z Turcją, natomiast namawiać elektora i nauczyć go szacunku dla króla polskiego i Rzeczypospolitej. Inni, w myśl życzeń Sobieskiego, domagali się, aby Radziwiłłównie odebrać jej dziedzictwo i wskazywali prawa, które go do tego kroku upoważniają. Ale Fryderyk Wilhelm wśród magnatów polskich znalazł moźnych obrońców, wspieranych tym razem zgodnie przez swojego posła i ambasadora Francji.

Nieszczęśliwy Jan III nie tylko nie znalazł naleźnego w walce z elektorem poparcia, ale poniósł nową klęskę, bo, gdy chciał podnieść kwestję zbrojeń, przeciwnicy jego zerwali Sejm i udaremnili zamiar powiększenia sił zbrojnych.

Intrygi francusko - brandenburskie zniechęciły Sobieskiego do Francji, a tę niechęć podtrzymywała w nim Marja Kazimiera, urażona, że Ludwik XIV, nie chciał jej ojcu, staremu utracjuszowi i hulace, przyznać tytułu para, a samej królowej, w razie przyjazdu do Francji, odmawiał przyjęcia z honorami, oddawanemi rodzinom panującym.

Wobec tylu niepowodzeń Jan III przeżywa gorzkie chwile. A nieprzyjaźni mu panowie nie przestają myśleć o jego detronizacji. Na czele spisku staje teraz kupiony przez Ludwika XIV podskarbi wielki koronny Andrzej Morsztyn, i prowadzi wielkie dzieło intrygi.

I w polityce zewnętrznej spotykają króla zawody.

Moskwa niespodzianie zawiera z Turcją pokój na lat dwadzieścia. Austrja odrzuca projekt przymierza zaczepnego i proponuje przymierze odporne, które dla Polski nie przedstawia żadnej wartości. W dodatku dumny Leopold nie chce zmienić swej polityki w stosunku do Węgrów. Daremnie Jan III, szczerze współczujący niedoli narodu węgierskiego, usiłuje przekonać dwór wiedeński, że Węgrzy, gnębieni przez Austrję a opuszczeni przez Polskę, szukać będą oparcia w Turcji. Cesarz nie godzi się na żadne ustępstwa. Więc zgodnie z przewidywaniem Sobieskiego, wódz nowstańców wę-

gierskich Tököly oddaje się pod protekcję sułtana, otrzymuje, jako lennik turecki, tytuł króla i zapowiedź pomocy zbrojnej w walce z cesarzem.

W styczniu 1683 r. zbiera się w Warszawie Sejm, a Sobieski i jego przeciwnicy stają do rozstrzygającej ze sobą walki.

Tym razem okoliczności sprzyjają Sobieskiemu. Groźne wieści o olbrzymich przygotowaniach wojennych Turcji jednają umysły szlachty dla króla. A zagrożony cesarz Leopold, uprosiwszy poparcie papieża Innocentego XI, sam zabiega tym razem o przymierze z Polską. W tych okolicznościach stronnictwo francuskie traci na popularności. Król jest pewny siebie, bo przejął listy Morsztyna, z których wynikało, że służy on za pieniądze Ludwikowi XIV, dąży do detronizacji Jana III i zamierza doprowadzić do zerwania Sejmu.

Sejm, obradujący w atmosferze wojennej, przejęty był poczuciem grożącego krajowi niebezpieczeństwa. A gdy król za pośrednictwem podkanclerzego Gnińskiego przedstawił intrygi Morsztyna, w sali sejmowej zerwała się straszliwa burza. Daremnie drżący Morsztyn starał się usprawiedliwić swoje postępowanie. Dowody zdrady były zbyt oczywiste, aby im można było zaprzeczyć. Więc ze wszystkich stron sali za-

częły się sypać obelgi i pogrożki, a mowę Morsztyna przerywały złowrogie okrzyki:

— Zdrajca! Krzywoprzysięzca!

Wobec wzburzenia Sejmu żaden głos nie odezwał się w obronie Morsztyna, a wspólnicy jego wyparli się udziału w zradzieckich przeciw królowi knowaniach. Jan III wspałałomyślnie zamknął oczy na winy swych nieprzyjaciół i, by uzyskać swobodę działania, zgodził się odroczyć proces Morsztyna do przyszłego Sejmu.

W takich okolicznościach dnia 31 marca 1683 r. po długich naradach z przedstawicielami cesarza, hr. Waldsteinem i Zierowskim, stanął między Rzeczpospolitą a Austrią traktat przymierza zaczepno-odpornego. Obie strony zrzekały się wszelkich do siebie pretensyj i zobowiązywały się do wspólnego prowadzenia wojny z Turcją. Polska miała wystawić 40.000 wojska, Austria 60.000, z których 20.000 przypadało na książąt niemieckich. Oba państwa miały walczyć na własnych terytorjach, lecz w razie gdyby Turcy oblegli Wiedeń lub Kraków, sprzymierzeni zobowiązani byli śpieszyć sobie z pomocą zbrojną. Naczelne dowództwo nad wszystkimi wojskami miało przypaść temu z panujących, który pierwszy znajdzie się na terenie wojny. W ten sposób dowództwo nad sprzymierzonymi siłami przyznane zostało Sobieskiemu, gdyż Leopold wodzem nie był i o zaszczyt ten nie myślał się ubiegać. Pragnął



Wielki wezyr turecki Kara-Mustafa,

jeszcze król uzyskać przyrzeczenie, że cesarz jedną z arcyksiężniczek przeznaczy na żonę młodocianemu królewiczowi Jakóbowi, ale że posłowie cesarscy nie chcieli wiązać się niczem w tak drażliwej sprawie, więc, ku wielkiemu niezadowoleniu króla i królowej, rzecz nie doszła do skutku.

A w tym samym czasie olbrzymia armja turecka pod wodzą sułtana Mahometa IV wyruszyła z Adrjanopola i skierowała się do Białogrodu. Tutaj sułtan oddał naczelne dowództwo wielkiemu wezyrowi Kara-Mustafie. Był to człowiek z wielką ambicją. Myślał on o podboju połowy Europy. Wódz zarozumiały, a przekonany o swoim wielkiem powołaniu, miał pod swemi rozkazami znakomitą piechotę, doskonałą jazdę, liczną artylerję i świetnych inżynierów, prawdziwych mistrzów w sztuce oblężenia. Ale ambicjom wielkiego wezyra nie dorównywał jego talent wojenny, a nadmierna pewność siebie stać się miała powodem najfatalniejszego z błędów, jakich się dopuścił w rozpoczętej kampanji.

Kara Mustafa, puściwszy przodem zagony tatarskie, przekroczył granice Austrii i, nigdzie nie znajdując poważniejszego oporu, szedł wprost na stolicę cesarską.

Przerażenie zapanowało w Wiedniu. Połowa ludności rzuciła się do ucieczki, a 7 lipca w największym popłochu uciekł ze swojej stolicy sam cesarz Leopold.

Posel austriacki hr. Waldstein i nuncjusz papieski na kolanach błagali króla Sobieskiego, aby osobiście śpieszył na ratunek Wiednia.

Ale Jan III nie potrzebował zachęty.

Wierny przymierzu, a przejęty ogromem swego zadania, z wielką energją zabrał się do dzieła. Pracując dzień i noc, zagrzewając odzwami szlachtę do szybkiego stawienia się pod chorągwiami, doglądając wszelkich przygotowań wojennych, umiał swą gorączkę czynu przelać w naród i rozpalić w nim ogień entuzjazmu. Kto mógł, szykował się na wyprawę. A gorące kazania duchowieństwa, skierowane przeciw wrogom krzyża, uroczyste nabożeństwa i procesje, budząc w całym kraju zapal rycersko-religijny, sprzyjały wyteżonej pracy Sobieskiego.

Pod koniec lipca 30.000 ludzi stanęło pod bronią.

Wcześniej jeszcze, bo już w końcu maja, wyruszyły pierwsze posiłki polskie, złożone z 2.800 jazdy, którą zwerbował na koszt cesarza marszałek nadworny Hieronim Lubomirski, a która już w czerwcu odznaczyła się zaszczytnie w operacjach wojennych pod Wiedniem.

W taki sposób rozwiało się przymierze francusko-polskie i ostatecznie padły w gruzy wielkie plany odzyskania Prus Wschodnich i porachowania się ze zdrazieckim sąsiadem. Rzeczpospolita nazawsze zawróciła z drogi,



Plan Wiednia z r. 1683 i ugrupowanie wojsk.

na którą usiłował wkręcić Jan III, a która, jak to wykazały dzieje późniejsze, była właściwszą drogą.

Ale opinia tłumu szlacheckiego nie mogła przeboleć utraty Podola i znacznej części Ukrainy. a nie przezierała wielkich niebezpieczeństw, czających się w mrokach przyszłości, i nie przeczuwała roli, jaką w sto lat potem odegrać mieli następcy elektora, cesarza i cara. A bohaterski król, acz patrzył dalej, niż szlachta, uległ wojowniczemu nastrojowi ogółu. Odżyły w nim dawne wspomnienia i dawne tradycje, pociągnęła go misja obrońcy świata chrześcijańskiego przed nawałą muzułmańską.

Oblężenie stolicy naddunajskiej zwróciło na Wiedeń uwagę całej Europy. Austria nie posiadała dość sił, aby obronić się przed potężnym wrogiem. Wojska książąt Rzeszy zbyt słabą stanowiły pomoc, by wpłynąć na przebieg wojny. Ocalić Wiedeń i monarchję habsburską mógł jedynie Jan III. Więc oczy świata skierowały się na wielkiego wodza.

Śród największego zainteresowania wszystkich państw i ludów wkraczał Sobieski z rycerstwem polskim na widownię powszechno-dziejową.

III

BITWA POD WIEDNIEM

Otrzymawszy w Wilanowie wiadomość o ucieczce cesarza Leopolda z Wiednia, Sobieski wraz z najbliższą rodziną opuścił 18 lipca swoją ulubioną rezydencję i wyruszył w drogę. Chciał osobiście kierować ruchami armji, która, w myśl otrzymanych rozkazów, miała się skoncentrować pod Krakowem i stamtąd przez Śląsk wkroczyć w posiadłości cesarskie.

Dnia 19 lipca na postoju w Radziejowicach wysłał król uroczyste wezwanie do Fryderyka Wilhelma. Pisząc, że sam „pierś swoją niesie w ofierze za ludy chrześcijańskie“, nagiął elektora o najspieszniesze wysłanie posiłków na ratowanie chrześcijańskiego monarchy od zguby. Ale rycerskie wezwanie odbiło się bez echa o skałę egoizmu pruskiego. Fryderyk Wilhelm ani myślał naśladować Jana III i nadstawiać pierś swoją za sprawę chrześcijaństwa. Głuchy na wszystko, w czem własnej nie widział



Hetman Wielki Kor. Stanisław Jabłonowski.

korzyści, na inne okazje zachowywał swe siły i śpieszyć się nie myślał.

Tymczasem Sobieski, przejęty wielką rolą, jaka mu przypadła w udziale, szybko odbywał podróż. Dnia 22 lipca minął Wolborz, 24-go zatrzymał się w Częstochowie, skąd przez Włodowice, Pieskową Skalę i Łobzów podążył do Krakowa. W nocy z 29 na 30 lipca, witany salwą dział, stanął na Wawelu.

Tymczasem armja polska w sile 14.000 jazdy, 12.300 piechoty i 28 dział ciągnęła dwiema kolumnami. Hetman polny Sieniawski wiódł główną siłę jazdy, hetman wielki Jabłonowski prowadził resztę jazdy, całą piechotę i artylerję pod dowództwem znakomitego generała Marcina Kątskiego. Obie kolumny przeszły granice Polski i stanęły obozem pod Tarnowskimi Górami na Śląsku.

Dnia 21-go sierpnia Sobieski wjechał do obozu, a nazajutrz odbył przegląd wojska. Pożegnawszy się z rodziną, zabrał za sobą na wyprawę najstarszego syna Jakóba, którego chciał przedstawić cesarzowi, nie bez nadziei, że doprowadzi do skutku zdawna planowane małżeństwo królewicza. Pomimo okazałej tuszy, rzeźki, sprężysty i żwawy, w Raciborzu porzucił król wygodną karocę, dosiadł konia i na czele dwudziestu kilku chorągwi lekkiej jazdy, wyprzedziwszy znacznie hetmana Sieniawskiego, a czyniąc kilkadziesiąt kilometrów dziennie, dążył

przez Piotrowice, Opawę, Olomuniec, Wischau, Brünn, Dürnholz do Nikolsburga. Witany owacyjnie przez ludność miast i wsi, podziwiając kraj piękny, bogaty i wesóły, a z uprzejmością przyjmując liczne deputacje, zdrów i pogodny wyjechał z Nikolsburga pod Hollabrun, gdzie 31 sierpnia połączyły się wojska polskie, wykazawszy podziwu godną wytrzymałość w niezwykle pośpiesznym marszu po fatalnych drogach.

Tegoż dnia stawił się w obozie polskim książę Karol Lotaryński, naczelnny wódz armji cesarskiej. Rywal Sobieskiego do korony polskiej, ale człek rycerski i wódz utalentowany, zbliżywszy się do obozu, zsiadł z konia i szedł na spotkanie króla. Uprzejmy Jan III również zsiadł z konia i witając księcia przed frontem czterech strojnych a groźnych chorągwi skrzydlatej husarji. Obaj wodzowie, jak świadczą listy Sobieskiego, odrazu przypadli sobie do serca.

Dnia 3 września odbyła się w Stetteldorfie wielka rada wojenna pod przewodnictwem króla. Wzięli w niej udział ks. Karol Lotaryński, elektor saski Jan Jerzy III, przewodniczący nadwornej rady wojennej margrabia badencki Herman, dowodzący wojskiem franko - szwabskiem ks. Waldeck, generał bawarski Degenfeld (elektor bawarski Maks Emanuel przybył w kilka dni później), kilku generałów i dostojników cesar-



Marcin Kątski, generał artylerji.

skich, hetman Jabłonowski i inni panowie polscy, których hetman, wyprzedziwszy swe wojsko, przyprowadził z sobą. Król wyrzekał na „ceremonje nieszczęsne“, wywołane przybyciem tylu dostojników, na „długie konsylja“ i „nierychłe rezolucje“. Lecz umiał załagodzić nieporozumienia i ostrożnym a pragnącym uniknąć ryzyka, Niemcom narzucić swą wolę. Zgodnie z jego decyzją, dnia 7 września armja sprzymierzona przeprawiła się przez Dunaj i stanęła pomiędzy miastem Tulln a górami Lasu Wiedeńskiego (Wienerwald). Po przebyciu przez Las Wiedeński, co ze względu na górzysty teren i brak dróg wielkie przedstawiało trudności, wojska chrześcijańskie miały stoczyć walną bitwę z wojskiem Kara-Mustafy.

Armja sprzymierzona liczyła około 65.000 ludzi i 176 dział. Piechotę obliczano na 35.000, jazdę na 30.000; na Polaków przypadało około 28.000, na Austriaków około 18.000, reszta na Bawarów, Sasów i Franko-Szwabów ks. Waldecka. Wojska tureckie, znajdujące się w owym czasie pod Wiedniem, wynosiły 138.000 doskonałych żołnierzy, nie licząc obsługi taborów i olbrzymiej masy ciurów obozowych.

Kara - Mustafa, acz wiedział o zbliżaniu się odsieczy, lecz nie wierzył w przybycie na plac boju Jana III, nie przerywał oble-

zenia i, lekceważąc nadciągające wojska, z wielką energją szturmował w dalszym ciągu miasto.

Dnia 8 września król własnoręcznie napisał w języku francuskim „ordre de la bataille“, wyznaczając Polakom skrzydło prawe, Sasom i Bawarom lewe, a środek — Austriakom i jeździe ks. Hieronima Lubomirskiego. Książę Waldeck miał tak manewrować, by w odpowiedniej chwili odwrócić się do Dunaju i nawiązać łączność z obleganym miastem. Rozkaz króla wysuwał na czoło piechotę, którą miała wspierać artylerja. Jazda, ze względu na gęstwą leśną i trudne przeprawy krocząc w drugim szeregu, dopiero w chwili, gdy piechota znajdzie się na równinie, miała wysunąć się na czoło, a pierwsze uderzenie wykonać husarja.

Jakoż 9 września armja sprzymierzona, przezwyciężając trudności terenu, rozpoczęła pochód przez góry Lasu Wiedeńskiego. Dnia 11-go przed zachodem słońca, król ze szczytu Kahlenbergu pilnie lustrował przyszłe pole bitwy. I teraz ze zdziwieniem stwierdził, że do ostatnich chwil najfalszywiej go informowano o właściwościach terenu, na którym bitwa miała się toczyć. Zamiast lekko pochyłej płaszczyzny, ujrzał znaczne, pokryte lasem góry, strome zbocza, przepaściste wąwozy, zgoła inny widok,



Książę Karol Lotaryński.

niż na zasadzie udzielanych mu wiadomości mógł oczekiwać. Zdobywanie tego terenu nastęczało takie trudności, że Sobieski postanowił odrazu zmienić „szyk i manjerę wojny“, na wzór „wielkich Maurycych, Spinolów“ i innych znakomitych wodzów, którzy zmuszeni byli systematycznie a stopniowo zdobywać zajętą przez nieprzyjaciela przestrzeń.

Ale nieoczekiwane przeszkody, skutkiem których walną bitwę najprędzej za dwa dni przewidywał, na jedną chwilę nie osłabiły w królu energii zwycięskiej. Gdy otaczający Sobieskiego cudzoziemcy, spoglądając na wielki obóz turecki, wyrażali wątpliwość, czy wojska sprzymierzone są dość silne, by z powodzeniem uderzyć na potężnego nieprzyjaciela, Sobieski odpowiedział, że wódz, który się nie okopał, nie skupił swych szyków i obozuje tak, jakby wojsko śpieszące Wiedniowi z odsieczą, znajdowało się o sto mil od niego. przeznaczony jest na zgubę. I dodał z ufnością:

— „Pobijemy go przy pomocy Boga“...

Ufność króla podniosła na duchu wątpiących, choć widok ze szczytu góry przy zapadającym mroku wieczornym pełen był niezwyklej grozy.

Widzialny, jak na dłoni, Wiedeń spowijały kłęby czarnych dymów, przez które purpurowym blaskiem świeciły luno pustoszących

miasto pożarów. A ponad tem morzem dymów i płomieni wznosiły się strzeliste szczyty licznych wież kościelnych. Z najwyższej z nich, z wieży św. Szczepana, puszczano nieustannie rakiety, których złote pręgi przecinały kurzawę dymów i gasły bezszelestnie w gęstych mrokach nocy. Były to sygnały, któremi oblężeni dawali znać sprzymierzonej armji o rozpaczliwym swoim położeniu. Turcy, bowiem, na jedną chwilę nie przestawali bombardować miasta. Ich baterje, ustawione półkolem przed wałami miejskimi, grzmiały nieustannie. Wiedeń bronił się ostatkiem sił, a odpowiadając z dział swoich artylerji tureckiej, chwilami ginał w tumanach dymów, to znowu, otoczony wstęgami krzyżujących się z sobą błyskawic armatniego ognia, wyłaniał się z pomroki w czerwonej łunie pożarów.

A poza Wiedniem na równinie Schmelzu widniał obóz turecki. Było to całe miasto śnieżnobiałych namiotów tak wielkie, według wyrażenia króla, jak „Warszawa albo Lwów w murach“. Śród tych namiotów i dookoła nich żołnierze tureccy wznecali właśnie ogniska. Wielka przestrzeń stanęła w morzu migotliwych płomieni. A przez cały ten płomienisty obszar przewalały się grzmoty za grzmotami i złowrogiem echem obijały się o góry, śród których w ciszy i ciemności szko-



Książę Waldeck.

wała się do jutrzejszej bitwy sprzymierzona armja.

Stosownie do zmian, które król zarządził, prawe skrzydło od Rosskopfu do Dreimarksteinu formowało wojsko polskie, środek na Vogelsangu wojsko ks. Waldecka i bawarskie elektora Maksymiljana Emanuela, a na lewem skrzydle, bliżej Dunaju, na Kahlenbergu pod dowództwem ks. Karola zajęły miejsca wojska austriackie, saskie i jazda Hieronima Lubomirskiego.

Linja wojsk tureckich, zaczynając się od Dunaju, szła przez Nussberg, Grinzing, Sievering, do Michaelbergu, poczem skręcając przez Pötzleinsdorf i Dornbach, ciągnęła się do Breitensee, tuż przy obozie na Schmelzu.

Kara Mustafa, nie przerywając na chwilę oblężenia, wzmacniał stanowiska, które miały bronić nieprzyjacielskiej armji dostępu na równinę przed Wiedniem. Król, wydawszy ostatnie rozkazy, udał się na prawe skrzydło i spędził kilka godzin wśród piechoty, ale nie zaznał odpoczynku, gdyż nieustający ogień armatni nie pozwolił mu na zmrużenie oczu.

Zaświtał historyczny dzień 12 września 1683 roku.

O wschodzie słońca armja sprzymierzona ruszyła naprzód, a huk armat i trzask muszkietów zaświadczył niebawem, że bitwa rozgorzała na dobre.

Jan III już o świcie zjawił się przed frontem wojsk na olbrzymim bułanym rumaku i, dając na wszystko baczenie, z krańca w kraniec przejeżdżał linię bojową. Król ubrany był, jak na paradę: zamiast zbroi miał na sobie biały jedwabny żupan i błękitny kontusz, a zamiast helmu kołpak z czapem piórem. Poprzedzał Sobieskiego jeździec z królewskim proporcem, a cały czas towarzyszył mu konno szesnastoletni królówiczb Jakób w ciężkiej zbroi i stalowym helmie. Wspaniała a pewna siebie postać króla wszędzie wywoływała entuzjazm, całej armji dodawała otuchy i budziła w niej wiarę w zwycięstwo.

O godzinie 8-ej rano wojska austriackie i saskie pod osobistym kierownictwem króla zdobyły górę Nussberg.

Sobieski w kaplicy Leopolda wysłuchał mszy świętej, odprowadzonej przez wysłańca papieskiego, kapucyna księdza Marka d'Aviano, poczem udał się na prawe skrzydło, zajmowane przez Polaków, którzy mieli najdłuższą do przebycia drogę i coraz za-ciętszy spotykali opór.

Zjawienie się króla podnieciło szeregi do największego wysiłku. Wyczerpana piechota polska, której część całą noc ciągnęła działa przez górzysty teren, z wielką fantazją natarła na nieprzyjaciela, wyparła go z Michaelbergu, w krwawych bojach zdobyła

Schafberg i Heuberg, a reszta wojsk polskich przy poparciu ks. Waldecka oczyściła całą przestrzeń od Grinzingu do Pötzleinsdorfu. Śród nieustannego ognia i wrzawy bitewnej, cała sprzymierzona armja spływała z gór, jak lawina, pod której naporem Turcy cofali się ze swej linii obronnej i niby kamienie, toczące się ze wzgórza, zbliżali się nieuchronnie do owej równiny, którą zwycięskie oczy króla już poprzedniego dnia wybrały na miejsce śmiertelnej rozprawy. Ochota śród wojsk chrześcijańskich wzmagala się w miarę powodzenia. Król świadczy, że żołnierze szli w bój, jak do tańca. Zapal śród piechoty austriackiej chwilami wzmagal się do tego stopnia, że oficerowie największych dokładali wysiłków, by szyk utrzymać i pohamować zapalczywość rwących się naprzód żołnierzy.

Po kilku godzinach coraz żwawszego boju grupa ks. Karola Lotaryńskiego, zajmujący Nussdorf i Heiligenstandt, posunęła się aż za Döbling, a wojska polskie, posiłkowane przez ks. Waldecka, wyparły Turków z nowej linii obronnej Weinhaus — Ottakring.

Kara-Mustafa zrozumiał nareszcie cały ogrom grożącego mu niebezpieczeństwa.

Wiedział już, że Jan III znajduje się na placu boju i że ze strony prawego skrzydła armji nieprzyjacielskiej oczekiwać może stanowczego ciosu. Ściągnął więc wielkie

siły przeciw temu skrzydłu i nagłym a śmiałym atakiem uderzył na wojska hetmana Jabłonowskiego. Ale Polacy nie tylko odparli atak, ale ochoczo ruszyli naprzód i cofających się Turków zapędzili aż pod sam obóz.

Zadanie, wyznaczone przez Sobieskiego na dzień 12 września, zostało wypełnione.

Turcy, wyparci z gór, a stłoczeni na niewielkiej przestrzeni, wykazywali coraz mniej pewności siebie, natomiast armja chrześcijańska, upojona powodzeniem, rwała się do walki.

Sobieski ocenił doniosłość momentu i, natchniony wielkim zamysłem, w mgnieniu oka powziął decyzję zakończenia bitwy. Wszędzie więc rozesłał ordynanse, aby wszystkie wojska następowały dalej.

Sam, uniesiony chwilą, lustrował pole walki i jak lew szykował się do śmiertelnego skoku. Dotychczas walczyła głównie piechota, teraz przyszła kolej na jazdę.

Była godzina 5-ta popołudniu.

Jan III stał w owej chwili na czele 15.000 jazdy, która, sformowawszy się w dolinie Dornbachu, zajęła miejsca na linii bojowej. Środek, a zarazem czoło, tej jezdnej lawiny stanowiły chorągwie polskie z husarją na przedzie. Chylące się ku zachodowi słońce grało na złożonych zbrojach, kładło się na orlich skrzydłach i rzucało krwawy blask na las sterczących kopij i szumiącą falę ko-

lorowych proporców, kołysanych podmuchami wiatru. Widok tej pysznej a sławnej na cały świat jazdy budził entuzjazm sprzymierzonej armji, a Turkom, którzy dobrze znali straszliwą siłę uderzenia żelaznych olbrzymów, odbierał serce do walki.

Sobieski, chcąc przekonać się, czy teren nie przeszkadza na zamierzony atak, przywołał strażnika koronnego Zbrożka i, wskazawszy mu formującą się konnicę turecką, wśród której rozbijano właśnie purpurowy namiot wielkiego wezyra, w kierunku tego namiotu rozkazał uderzyć jedną chorągwią husarji.

Natychmiast stu kilkudziesięciu jeźdźców zerwało się z miejsca i, biorąc pęd coraz większy, wpadło ze złożonymi kopjami w gęszcz tureckich zastępów. Skłębiła się masa ludzi i koni. Wrzawa bojowa uderzyła w niebo. Po chwili z kurzawy, która przesłoniła pole walki, wyłoniła się skrzydlata chorągiew i, spełniwszy swoje zadanie, pędem wracała do swoich. Z przeraźliwym wrzaskiem goniły ją hufce spahów, lecz, spotkawszy na swej drodze wysłane przez króla posiłki, wycofały się z walki.

Król, uspokojony co do właściwości terenu, sam postanowił poprowadzić do ataku całą skupioną przy nim jazdę i zadać cios ostateczny wrogowi. Odgadujące swego wielkiego wodza rycerstwo znieruchomiało i za-

marło w oczekiwaniu rozkazu. Powagę chwili zrozumieli i Turcy, szykując się do odparcia burzy, a zwracając swe liczne działa paszczami ku zastępom polskim.

Wtem na dany przez króla znak odezwała się marsowa muzyka polska: zagrały przeciągle trąby i bojowy łoskot kotłów wstrząsnął przestworzem. Sobieski wyciągnął buławę w kierunku namiotu wielkiego wezyra, spał ostrogami konia i rzucił się naprzód. Dwa tysiące pięciuset husarzy z chrzęstem zbroi, z szumem orlich skrzydeł, z furkotem proporców porwało się za swym królewskim wodzem i, sunąc przez rozwalone płoty, zasieki i rowy, przesadzając rumowiska spalonych osiedli, a biorąc pęd coraz większy, gnało, jak chmura, niesiona porywami wichru. Wraz z husarją pomknęły chorągwie pancerne, a po obu bokach polskiego zastępu pędziły do boju konne oddziały Austriaków, Bawarów i Sasów.

Huk wszystkich armat tureckich powitał tę olbrzymią lawinę ludzi i koni, poczem z gęstych obłoków dymu wychyliła się nieprzeliczona masa ciężkiej jazdy wezyrskiej i runęła na spotkanie strasznej nawałnicy. Pod uderzeniem dziesiątków tysięcy kopyt końskich głucho zadudniła ziemia, a z obu stron wzbiły się w niebo dwie wielkie kurzawy i leciały naprzeciw siebie, jak dwie huczące burze.

Gdy oba wojska zbliżyły się ku sobie, ze strony polskiej wypadła, jak błyskawica, chorągiew husarska imienia królewicza Aleksandra. Prowadził ją rotmistrz Zygmunt Zbierzchowski. Chorągiew ta pierwsza uderzyła na wroga, a uderzyła z taką mocą, że szyki nieprzyjacielskie rozstały się, jak wrota, które otworzył huragan. Przez wyrwę, uczynioną tym piorunowym ciosem, wtargnęły zaraz inne chorągwie, a w chwilę potem cała husarja z najeżonemi kopjami runęła w wir walki. Był to atak nad atakami. Kopje, których husarze używali w największym rozpędzie dla przełamania wroga, błysnęły, jak pociski śmierci, i z trzaskiem rozbiły się o piersi jeźdźców tureckich. Z 2.500 tych śmiertelnych grótów za ledwie dwadzieścia się nie skruszyło. Nie zawiodła dzielność polska i siła polskiego ramienia w tem strasznym starciu. Uderzenia o takiej sile żadne na świecie wojsko ówczesne nie było w stanie wytrzymać. Słynna konnica turecka, będąca postrachem wojsk austriackich i niemieckich, zachwiała się pod tym naporem, a czołowa jej ściana zwała się, jak nagle podcięty łąn zboża. Daremnie usiłowały bronić się następne szeregi. Parte siłą rozhukanych koni, rąbane szablami, rażone pchnięciami koncerzy, nie były w stanie dotrzymać pola uniesionemu szaleńcom bojowym rycerstwu. Coraz głębiej

wrzynały się chorągwie polskie w stłoczoną cizbę nieprzyjaciół, a w tym zapędzie jazdy wszystkich wyprzedził niebawem Jan III na czele wielkiego hufca husarji. Poznali Turcy swego pogromcę. Na sam widok króla, pędzącego wśród szumiących skrzydeł żelaznych rycerzy, wszystko z dzikim okrzykiem przerażenia rozstępowało się dookoła i umykało z drogi. A Sobieski na olbrzymim bułanym rumaku pędził wprost ku namiotom wielkiego wezyra.

Na całej linii bojowej zawrzała walka coraz szybsza i coraz gwałtowniejsza.

Jazda turecka, przełamana pierwszem uderzeniem husarji, a parta zaciekle przez resztę kawalerji polskiej, austriackiej i niemieckiej, zwątpiła o wszystkim i w panicznej, bezładnej ucieczce szukała ocalenia. Sam wielki wezyr Kara Mustafa dopadł konia i, jak stał, zemknął z placu boju. Za przykładem wodza cała armja turecka rozprysła się mnóstwem burzliwych potoków, ginących coraz szybciej z przed oczu sprzymierzonej armji.

Lekkie chorągwie polskie rzuciły się do pościgu.

Pogrom armji tureckiej, uciekającej z pola bitwy na złamanie karku, był zupełny.

Jedynie dzielni janczarowie, zajmujący przykopy pod murami miasta, a pozostawieni własnemu losowi, bronili się z niesłycha-

nem męstwem. Tych po zacieklej walce wyparły wojska ks. Lotaryńskiego, a resztki ich, broniące się do ostatniego tchu, już późną nocą pokonał Hieronim Lubomirski.

Wiedeń był wolny.

Zaraz po ucieczce wojsk tureckich niesłychana radość zapanowała w sprzymierzonej armji. Wodzowie i książęta cudzoziemscy nadbiegli do króla i, winszując zwycięstwa, rzucali mu się na szyję. „Żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji“ cudzoziemskiej wołały w uniesieniu:

— „Ach, unser brave König!“

Lecz król na chwilę nie przestał pełnić obowiązków wodza. Czuwając nad wszystkim, jeździe „pod gardłem“ zakazał zsiadać z koni, a regimenty piechoty trzymał w gotowości bojowej. Obawiał się, by zwycięskie wojsko nie rzuciło się na rabunek i nie zagubiło w wielkiem „mieście namiotów“, co mogłoby się zakończyć katastrofą, gdyby Turcy, ochłoniawszy z przerażenia, zebrali swe siły i nocnym atakiem spróbowali powetować klęskę.

Tymczasem zapadał mrok coraz gęstszy i ciemności otuliły pole zwycięstwa.

Król, acz straszliwie znużony, pozostał przy wojsku i spędził noc w polu pod suchym dębem w rozbitym naprędce namiocie tureckim.

Nazajutrz pisał do Marji Kazimiery:

— „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciół, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji... Wojska wszystkie, które dobrze bardzo czyniły swoją powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę“.

— „Ślubuję, — pisał król w innym liście, — żeśmy dobrze krwią szlachecką obłali tę przysługę cesarską i całego chrześcijaństwa, a ich wojska tak szczęśliwe, że takiej szkody nie mają“.

Istotnie, straty wojsk polskich były największe, gdyż Polacy najdłużej byli w boju i najtrudniejsze mieli przed sobą zadanie.*) Ależ też oręż polski w tej wiekopomnej bi-

*) Zarówno straty armji sprzymierzonej, jak wojsk tureckich nie zostały dokładnie obliczone, a współcześni podają cyfry, wielce różniące się z sobą. Ofiary, poniesione przez Polaków, powiększyła epidemia. Zachorował ciężko hetman polny Sieniawski i zmarł po kilkutygodniowych cierpieniach. Chorowało kilku wojewodów, wielu oficerów i mnóstwo żołnierzy, często śmiercią przyplacając chorobę z powodu braku należytej opieki i pomocy ze strony władz austriackich.



Chorągiew mahometańska, zdobyta pod Wiedniem.

twie największą okrył się chwałą. To też hołd rycerstwu polskiemu oddawała cała sprzymierzona armja, a Sobieski nazajutrz po zwycięstwie stał się znowu przedmiotem entuzjastycznych owacyj.

Radość ze zwycięstwa była tem większa, że w obozie tureckim znajdowały się nieprzebrane zapasy żywności, amunicji, oręża, mnóstwo koni, mułów, wielbłądów, a namioty pełne były przepysznych tkanin, dywanów, złotych i srebrnych naczyń, a nawet drogocennych klejnotów.

Jan III stał się „sukcesorem” wielkiego bogactwa i wszystkich „splendorów” Kara Mustafy.

— „Mam, — donosił swojej Marysieńce, — wszystkie znaki jego wezyrskie, które przed nim noszą, chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś że jeszcze posłałem do Rzymu ojcu świętemu”...

Najwięcej łupów dostało się rycerstwu polskiemu, gdyż ono stało najbliżej obozu, ale bogactwa, opuszczone przez Turków, były tak wielkie, że starczyło ich nawet dla ludności cywilnej. Wielu mieszkańców wywzalonego Wiednia przesadziło wały i, wdarłszy się do obozu, zaczęło łupić przepyszne namioty, a niektórzy z nich tak się obłowili, że w szybkim czasie doszli do znacznego majątku.

Wieść o świetnem zwycięstwie szybko rozeszła się po świecie.

Jan III, słynny pogromca Turków w wielu bitwach, stoczonych na ziemi ojczystej, teraz dopiero, po zwycięstwie na obczyźnie, wzniosł się na szczyty wojennej sławy i stanął w szeregu największych wodzów świata. Daremnie zawiść obca po wielokroć aż do ostatnich czasów usiłowała pomniejszyć zasługi Sobieskiego. Fakty świadczą, że sam marsz wojsk polskich z obozu w Górach Tarnowskich pod Tulln nie ustępował szybkości sławnych marszów napoleońskich, że Sobieski ułożył plan batalji i własnoręcznie go napisał, że od początku do końca kierował przebiegiem bitwy, że nieustannie narażał swe życie, że wreszcie błyskiem swego geniuszu odgadł najstosowniejszy do ostatecznego uderzenia moment i, wystawiając na największy hazard własną osobę, 15.000 jazdy z husarją polską na czele poprowadził do nieśmiertelnego w dziejach wojen ataku i atakiem tym o nieśmiertelnem rozstrzygnął zwycięstwie.

Bohaterski król ocenił po rycersku zasługi ks. Karola Lotaryńskiego i całej sprzymierzonej armji, ze swej strony wszyscy cudzoziemscy wodzowie i żołnierze wybuchem entuzjazmu oddawali należny hołd swemu naczelnemu wodzowi.

Ale entuzjazm dla Jana III i jego rycerstwa trwać miał bardzo krótko.

IV

PO ZWYCIĘSTWIE

Nazajutrz, dnia 13 września, Sobieski w towarzystwie książąt i starszyzny wojskowej zwiedzał wykonane z wielką sztuką przykopy, któremi Turcy zbliżali się do miasta. Komendant Wiednia, hr. Starhemberg, udzielał królowi wyjaśnień. Jan III okiem znawcy przyglądał się wszystkiemu, a Starhembergowi nie szczędził słów uznania za dzielną obronę miasta. Potem, przez furtkę wycieczkową, bo wszystkie bramy były jeszcze zamknięte, udał się Sobieski do wyzwolonej stolicy. Niesiono przed nim wielką chorągiew turecką, dwa zdobyczne buńczuki i poźlocistą szablę wielkiego wezyra, a za nim prowadzono w przepysznym rynsztunku rumaka Kara - Mustafy.

Tłumy ludu wiedeńskiego garnęły się do swego wybawcy.

— „Lud wszystkich pospolity,—pisał król — całował mi ręce i nogi, suknie, a drudzy się tylko dotykali, wołając: — Ach, niech tę rękę waleczną ucałujemy“...

Ale bystre oczy króla zauważyły, że oficerowie i urzędnicy cesarscy „krzywo“ spoglądali na głośniejsze objawy entuzjazmu i tłumili wiwaty, jakie tu i owdzie wznoszono. Nieprzyjemnie uderzyło to Sobieskiego. Więc wysłuchawszy nabożeństwa w kościele „am Hof“ i zjadłszy obiad u hr. Starhemberga, zaraz powrócił do obozu.

Nie wiedział zwycięzca, że wszystko to dzieje się na żądanie cesarza. Jeszcze walka toczyła się pod Wiedniem, a Leopold już podniósł dumnie głowę i wysłał rozkaz, by nikt przed nim do wyzwolonej stolicy nie wjeżdżał i by Sobieskiemu nie okazywano zbyt wiele uznania.

Starhemberg bądź to nie otrzymał jeszcze rozkazu, bądź też nie śmiał sprzeciwić się bohaterskiemu wodzowi, gdy ten wyraził życzenie obejrzenia miasta. Ale postępowanie cesarza było wymownym dowodem, jak małostkowymi względami powoduje się dwór wiedeński.

A był to dopiero początek zawodów i przykrości, które po odniesionem zwycięstwie czekały Sobieskiego.

Dnia 14 września na błoniach pod Schwechat nastąpiło spotkanie nonarchów.

Stosownie do ułożonego zawczasu ceremonjału, obaj konno jechali naprzeciw siebie.

Otoczony świetnym a strojnym orszakiem polskiego rycerstwa, mając syna Jakóba przy boku, jechał z jednej strony Jan Sobieski, dorodny, marsowej postawy, o jasnym, otwartem spojrzeniu pięknych czarnych oczu. Wielki wojownik, jak posąg siedział na wspaniałym rumaku, pewny siebie, lecz swobodny, prosty, naturalny. Z drugiej strony w towarzystwie ks. Karola Lotaryńskiego, elektora Maksa Emanuela, sztywnych ministrów i dworaków, zbliżał się, lekliwie kierujący koniem, cesarz Leopold, o twarzy długiej, z wydętą dolną wargą, blady i zaambarasowany, w olbrzymiej peruce o skręconych fantastycznie lokach, w kapeluszu, ozdobionym błyszczącymi piórami, spadającymi aż na oczy.

Obaj sprzymierzeńcy, stanawszy naprzeciw siebie, przywitali się, według wyrażenia króla, „dosyć ludzko“. Sobieski uczynił Leopoldowi „kompliment“ po łacinie. Cesarz „tym-że odpowiedział językiem dosyć dobrymi słowami“.

Ale zaraz potem nastąpił zgrzyt, który hołśnie odczuł Sobieski.

Po wymianie słów powitalnych, król zaprezentował cesarzowi swego syna Jakóba, lecz Leopold nie wyciągnął do królewicza ręki i nawet nie uchylił kapelusza. Jan III

omal „nie strętował“, lecz, jak pisał później, „aby się świat nie skandalizował, nie cieszył, albo nie śmiał“, wypowiedział jeszcze słów kilka, poczem zawrócił konia i w ten sposób rozstał się ze swoim nadętym pychą sojusznikiem.

Podobno Leopold nie chciał bynajmniej urazić królewicza. Poprostu kiepski jeździec nie był w stanie poradzić sobie z niespokojnie zachowującym się koniem i. kurczowo ściągając obiema rękoma uzdę, nie mógł już na gest powitalny się zdobyć. W taki sposób na błoniach pod Schwechat spotkali się z sobą dwaj monarchowie: z jednej strony cesarz, który niedawno w największym popłochu opuścił zagrożony Wiedeń, wykazując niedołęstwo i lękliwość osobistą wobec niebezpieczeństwa, stojącego u wrót stolicy, — z drugiej strony genialny wódz, który z nad Wisły gwałtownym marszem pośpieszył nad Dunaj, by, własne życie stawiając na kartę, a obficie przelewając krew polską, zadać cios stanowczy armji tureckiej i wyzwoloną stolicę wraz z ocalonem państwem wrócić swemu sojusznikowi.

Odczuł przecież Sobieski to widzenie się z Leopoldem i wyrzekał na nie w swych listach do Marji Kazimiery.

I rycerstwo polskie mocno sarkano, że cesarz, czyniąc w towarzystwie hetmana Jabłonowskiego przegląd jazdy polskiej, za-

chowował się z lodowatą dumą i nie podziękował nikomu za przelaną krew i poniesione trudy.

A za przykładem cesarza wszystko zaczęło odwracać się od zwycięzców.

— „Po tem się widzeniu, — pisał król, — zaraz tak (się) wszystko odmieniło, jakby nas nigdy nie znano“.

Dla oswobodzicieli Wiednia zabrakło żywności, dla rannych i chorych pomieszczeń w szpitalach. A poległych w obronie Wiednia żołnierzy polskich władze austriackie nie pozwoliły nawet grzebać na cmentarzach chrześcijańskich. Pomiędzy rycerstwem polskim a wojskiem cesarskiem coraz częstsze wybuchały niesnaski. Doszło do tego, że nie mających się na baczności a odosobnionych Polaków żołnierze cesarscy kupą napadali na gładkiej drodze, gwałtem odbierali konie, rabowali wozy, obdzierali z płaszców. Pazią królewskiego, jadącego o kilka kroków za Sobieskim, dragon austriacki uderzył kolbą w twarz i srodze pokrwawił. Jan III poskarżył się ks. Karolowi, ale nie otrzymał zadośćuczynienia.

Z każdym dniem zuchwałość Austriaków rosła i coraz bardziej dawała się we znaki Polakom.

Tak wywdzięczał się Leopold I Janowi III za ocalenie Wiednia.

Sobieski, jak świadczą jego listy, był oburzony, ale nie zdobył się na protest, któryby nauczył Habsburga i jego dworaków szacunku dla króla i rycerstwa polskiego. Plany królewskie, dotyczące małżeństwa królewicza, nie mogły w takich warunkach liczyć na powodzenie. Król gniewał się, lecz zamiast pokazać swemu sojusznikowi kły i pazury, pozostawał ze swem wojskiem na niegościnniej ziemi, a na wieść, że Kara Mustafa gromadzi na Węgrzech swe siły, wysłał z Austriakami przeciw Turkom, pomimo że wzywano go do kraju i że wojsko polskie, doznawszy czarnej niewdzięczności, niechętnie ciągnęło na nową wyprawę.

Lecz Jan III chciał do końca spełnić swoje zadanie. Pysze i bucie niemieckiej ustępowała z drogi dobroduszość polska, a obowiązki rycerskie, tak jak go pojmował Sobieski, nie pozwalały mu opuszczać sprzymierzeńca, gdy temu nowe zagroziło niebezpieczeństwo.

Daremnie przecież, ciągnąc na nową wyprawę, król, który w listach swych pisał, że „nad narodem węgierskim ma wielkie miłosierdzie“, starał się zmienić względem Węgrów politykę Austrii i w ten sposób rzucać ich sojusz z Turcją. Pycha Leopolda nie pozwalała mu traktować z powstańcami. Cesarz czekał tylko okazji, by ogniem i mieczem nawiedzić zbuntowaną krainę. Tym-

czasem na samą wieść, że Jan III wkroczył na ziemię węgierską, wojska powstańcze zaczęły opuszczać Turków, a nawet tu i ówdzie broń przeciw nim podnosić.

Ale polityka dworu wiedeńskiego udaremniła zamysły Sobieskiego, a wyprawa na Węgry pod złym zaczęła się znakiem. Dnia 7 października 1683 roku, pod Parkanami nad Dunajem, przednie straże polskie wdały się nieopatrznie w bitwę z Turkami, a spostrzegłszy przemagające siły nieprzyjaciół, wysłały gońców o śpieszny ratunek. Na plac boju przybył hetman Jabłonowski. Przyszło do bitwy, której przebieg fatalnie zapowiadał się dla Polaków. Zaalarmowany złą wieścią a zdala stojący obozem, Sobieski z samą tylko jazdą pośpieszył pod Parkany, lecz w wojsku zastał już „wielką konfuzję“. Daremnie starał się stłumić popłoch i opanować sytuację. Jazda, pomimo tragicznych wysiłków króla, zemknęła z placu boju, a sam Sobieski, opuszczony przez własne rycerstwo, omal nie zginął w tej nieszcześliwej rozprawie. Gdy niespodzianie dla wszystkich zjawił się w obozie, starszyzna zaczęła go błagać, by, nie wszczynając nowej bitwy, zarządził odwrót do kraju.

Ale Sobieski, któremu honor żołnierza i wodza nie pozwolił opuszczać placu boju po doznanej porażce, odrzucił z oburzeniem te rady i z wielką energją zapewniał

wszystkich, że do nowego zwycięstwa poprowadzi wojsko.

Jakoż w dwa dni później, zgromadziwszy znaczniejsze siły, a oprócz wojsk polskich, mając pod swem dowództwem 7.000 Austriaków ks. Karola Lotaryńskiego, pod temiż Parkanami odniósł nowe nad Turkami zwycięstwo. Z całej armji nieprzyjacielskiej zaledwie 3.000 Turków uszło z pola bitwy, reszta bądź zginęła w krwawej rzezi, bądź utonęła w wartkich wodach Dunaju. Tysiąc jeńców i dwóch baszów dostało się do niewoli. Bitwa była uporeczywa i krwawa, a to nowe zwycięstwo nazwał Sobieski większem, aniżeli wiedeńskie.

Dnia 17 października zdobył król Gran. potężną twierdzę, oddaną przez Turków po trzech dniach oblężenia, a nieco później odebrał Turkom Szczecin.

Zakończywszy na tem działania wojenne, Sobieski skierował się ku granicom Polski. Dnia 14 grudnia stanął w Lubowli, a następnie przez Stary Sącz, gdzie spotkał się z Marją Kazimierą, wyruszył do Krakowa. Przybył tu 24 grudnia, a w drugi dzień Bożego Narodzenia przy grzmocie dział odbierał hołdy od ludności miasta.

ZAKOŃCZENIE

Wyprawa wiedeńska w całym świecie podniosła powagę Polski, a dyplomację europejską pobudziła do nowych zabiegów o wciągnięcie Rzeczypospolitej w grę krzyżujących się wzajem interesów. Największe jednak wrażenie pogrom armji tureckiej wywarł w krainach nad Dunajem. Ludy, pozostające pod panowaniem Turcji lub zmuszone korzystać z narzuconej sobie opieki sułtana, ku Janowi III zwróciły swe oczy. Węgrzy, ufający Sobieskiemu, a niezrażeni niepowodzeniem jego prowęgierskiej polityki w Wiedniu, już w r. 1684-ym uczynili królowi nowe propozycje. Wódz powstańców węgierskich, Tököly, całą swą siłę zbrojną i wszystkie twierdze oddawał do rozporządzenia Sobieskiego, a księżę siedmiogrodzki, Apaffy, chcąc zrzucić jarzmo tureckie, również udawał się pod opiekuńcze skrzydła króla i proponował przyłączenie do Polski Siedmiogrodu, jako królestwa len-

nego. Z taką samą propozycją zgłosił się hospodar multański.

Przed Polską otwiera się świetna perspektywa wyzwolenia z pod panowania sułtana i cesarza rozległych krain nad Dolnym Dunajem i wywalczenia sobie przystępu do morza Czarnego.

Rzeczpospolita, jedyne w Europie mocarstwo, rozszerzające swe wpływy i posiadłości nie mieczem i nie zaborami, lecz głośnie w świecie tolerancją i zrozumieniem dążeń narodowych słabszych sąsiadów, odzyskuje, dzięki Sobieskiemu, dawną siłę przyciągającą. Z własnego popędu, jak za Jagiellonów, garną się do Polski ciemiężone ludy.

Wielkie idee rozpłomieniają umysł Sobieskiego.

Zwycięski pochód na Konstantynopol uśmiecha się bohaterowi z pod Wiednia. A okoliczności zdają się sprzyjać tym marzeniom. W marcu 1684 roku powstaje Liga Święta, której zadaniem jest wspólna wojna z Turcją. Do Ligi przystępuje papież, cesarz, Wenecja i Polska. Jan III wierzy w swą gwiazdę. A jego przeszłość usprawiedliwia w pewnym stopniu tę wiarę. Któż bowiem mógł stanąć na czele wielkiej krucjaty i gdzież poza Sobieskim był wódz, któryby dawał rękojmię, że olbrzymie dzieło wojenne uwieńczone zostanie powodzeniem? Sobieski wie, że w cesarzu będzie miał nie-

bezpiecznego współzawodnika, ale nie wątpi, że, rozgromiwszy Turcję, i nad Austrią potrafi uzyskać przewagę.

Niestety, rozstrojone państwo polskie z końca XVII stulecia różni się wielce od Polski Jagiellonów i Polski Batorego. Słabość wewnętrzna kraju nie pozwala na pewną siebie i mocną politykę zewnętrzną. A talent polityczny Jana III nie stoi na wysokości jego geniuszu wojennego. Jak w swoim czasie nie zdołał Sobieski zjednać sobie opinii dla odzyskania Prus Wschodnich i sojuszu z Francją, tak później nie był w stanie zapalić umysłów dla nowych idei, które mu przyświecały. Coraz większa anarchja, wstrzasająca życiem Polski, paraliżuje plany króla. W tych warunkach, wbrew nadziejom Sobieskiego, wszystkie korzyści z Ligi Świętej odnosi cesarz, a z rozterek wewnętrznych, z niepowodzeń dyplomacji polskiej, z kłopotów i niemocy osamotnionego króla, korzysta również Moskwa, zagarnia ostatecznie Smoleńsk, Kijów, Czernihów z ogromnym pasem ziemi i, na podstawach haniebnego traktatu Grzymułtowskiego, uzyskuje stanowczą nad Polską przewagę.

Sobieski, walczący z Turcją, nie jest w stanie zapobiec nieszczęściu.

Z biegiem lat coraz oczywistszem się staje, że nie wojna, lecz pokój z Wysoką Portą wzmacniał stanowisko Polski wobec są-

siadów, groźniejszych dla jej przyszłości, niż Turcja.

A pokój ten bynajmniej nie zagrażał chrześcijaństwu. Albowiem chrześcijaństwo stanowiło zbyt wielką potęgę, by o jego losach mógł rozstrzygnąć przebieg bitwy pod Wiedniem. Nigdy Turcja, nie wyłączając okresu swej największej mocy i świetności, nie tylko nie mogła narzucić Europie islamu, ale nawet we własnych posiadłościach nie zdołała wytepić chrześcijan. Miała jednak i pod koniec XVII stulecia dość sił, by, zawarwszy pokój z Polską, trzymać w szachu Austrię i Moskwę.

Te siły podcięło zwycięstwo Sobieskiego. Cios, zadany armji sultańskiej pod Wiedniem, zachwiał potęgą Wysokiej Porty w sposób tak stanowczy, że od tej pory nie zdołała już odzyskać dawnego w świecie znaczenia. Wykorzystali ten fakt sąsiedzi Rzeczypospolitej, lecz Polska przez długie lat dziesiątki piła tylko gorycz świetnego pod Wiedniem zwycięstwa.

Nic dziwnego, że w historjografji polskiej wielokrotnie traktowano odsiecz wiedeńską, jako wielki błąd, popełniony przez Jana III. Fakty jednak świadczą, że w ówczesnym ustroju Polski, odbiegającym od ustroju wszystkich państw Europy, a czyniącym władze Rzeczypospolitej igraszką w rękach zwalczających się stronnictw, niepodobna

było urzeczywistnić żadnego wielkiego zamierzenia. Rządy polskie cierpiały na paraliż woli.

W tych warunkach, po nieudanej próbie odzyskania Prus Wschodnich, nie pozostawało Polsce nic innego, jak zawrzeć sojusz z Austrią, bądź też zasklepić się we własnych walkach wewnętrznych i zamknąć oczy na wszystko, co się dzieje w Europie. A największym błędem politycznym państwa, nie chcącego stać się przedmiotem intryg i gry sił obcych, jest utrata ambicij państwowych, obojętność na wydarzenia dziejowe i nieobecność na arenie międzynarodowej, gdy wielkie burze wstrząsają światem. W taką obojętność, w taką niemoc, zwiastującą zgon bliski, zapadła niebawem Polska za panowania Sasów. Sobieski, broniąc swej ojczyzny szablą, nie dał spać narodowi. A zwycięstwo wiedeńskie, mimo ciężkich dla kraju następstw, przyniosło i Polsce bezpośrednie korzyści. Nie doczekał owoców swego dzieła Jan III, ale jego to szabla pisała traktat karłowicki, zwracający Rzeczypospolitej Ukrainę i Podole z Kamieńcem.

Pod innym jeszcze względem odsiecz wiedeńska miała doniosłe dla narodu znaczenie.

Idąc z rycerstwem polskim nad Dunaj, złożył Jan III niezapomniany dowód wierności sojuszniczej państwa polskiego, wpro-

wadził Polskę na widowie powszechno-
dziejową i na oczach całego świata otoczył
ją chwałą.

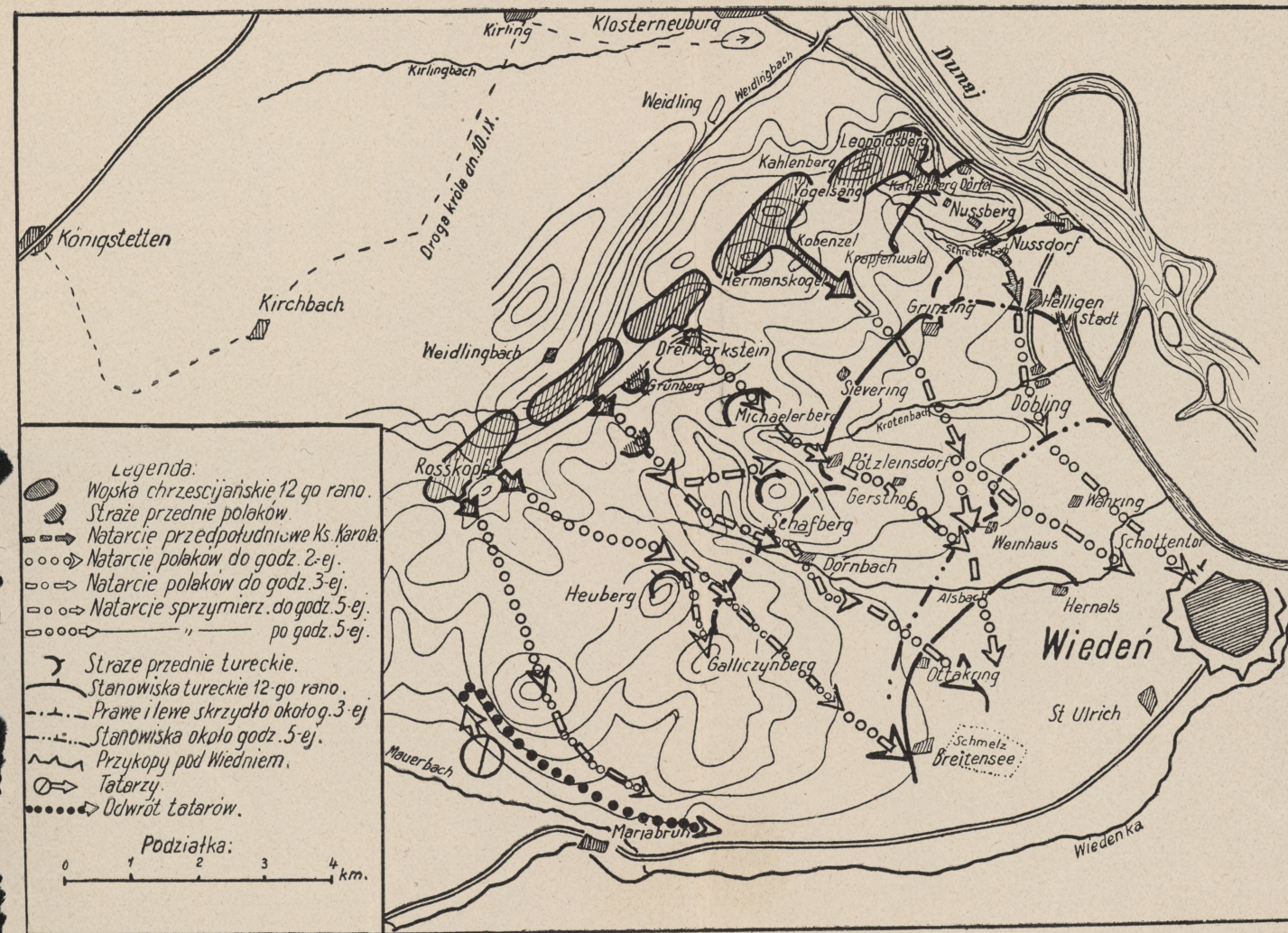
Sława orężna, zdobyta pod Wiedniem, sto
lat jeszcze stała na straży Rzeczypospolitej
i broniła jej granic przed zakusami sąsia-
dów. A po rozbiorach nieraz przyświecała
żołnierzom polskim i krzepiła ich serca w
ciężkich walkach o wolność Ojczyzny. Bez
wielkich czynów historycznych, bez wiel-
kich tradycyj i wspomnień, ubożeją narody.
Sława, którą zdobywa genjusz, poświęcenie
i bohaterstwo, nietylko opromienia prze-
szłość, ale nigdy żyć nie przestaje w przy-
szłości. Sława narodu — to skarb bezcenny
pokoleń potomnych. Jakoż pokolenia za po-
koleniami czerpały wiarę i otuchę ze skarb-
ca chwały polskiej, którą tak świetnie po-
mnożył Sobieski.

250 lat przemija od odsieczy wiedeńskiej,
a rycerskie dzieło Jana III, z wyższych ide-
alnych motywów biorące swój początek,
błyszczący wspaniałe w pomroczu dziejów i
nadal po wszystkich zakątkach świata roz-
nosi sławę imienia polskiego. I nigdy nie za-
ginie w historii ludzkości. A w Polsce wspo-
mnienie husarji, z szumem orlich skrzydeł
lecącej za swym wielkim wodzem po nie-
śmiertelne dla narodu zwycięstwo, zawsze
porywać będzie wyobraźnię pokoleń, budzić

w potrzebie rycerskie ambicje, krzesać za-
pał, wolę i męstwo.

Z dzieł ludzkich tylko dzieła, jawiące się
w blaskach sławy, są wieczyście płodne,
twórcze i żywe.





Bitwa pod Wiedniem 12 września 1683 roku.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317128



000-317128-00-0